

# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

## WAKACYE W WARSZAWIE

POGADANKI O ARCHITEKTURZE  
przez

*Waleryę Marrené - Morzkowską*

(Dalszy ciąg).

X.

**W**

domu zastali bardzo miłych gości. Przyjechała siostra pani Jaczyńskiej, pani Borska, mieszkająca z mężem we Lwowie, wraz z córką Marynią, trochę starszą od Halinki. Dzieci nie знаły tej ciotecznej siostrzyczki, ale zaraz się z nią zaprzyjaźniły, bo Marynia

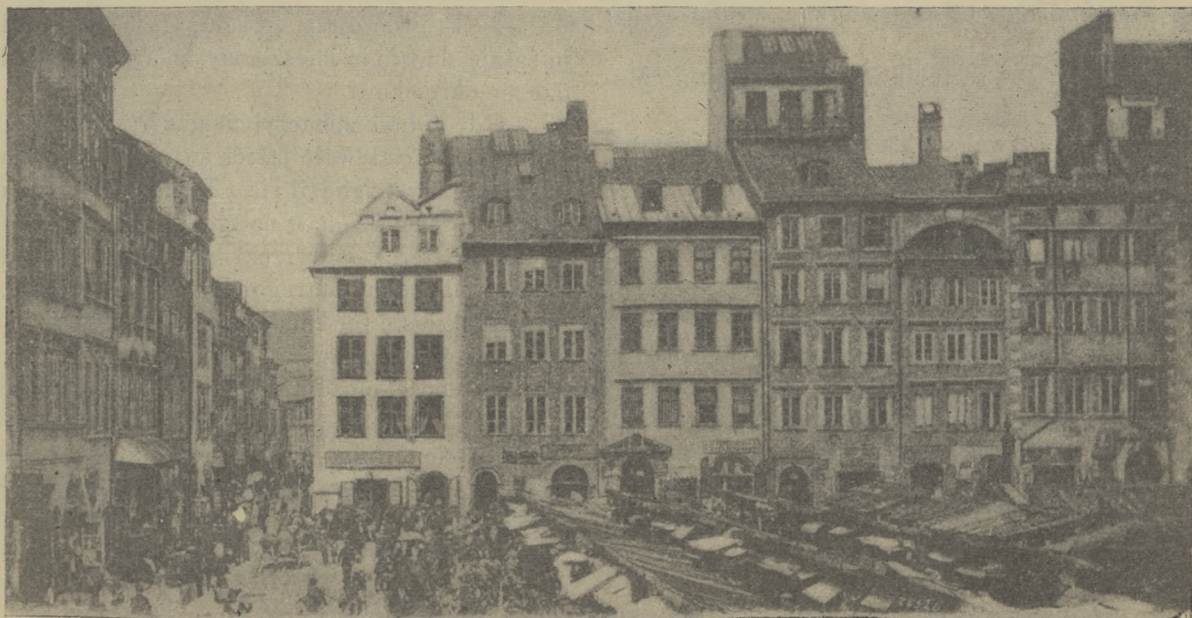
była dobra i miła. Marynia pierwszy raz była w Warszawie

i dziwiła się, że jest tak bardzo ruchliwa i ożywiona. Znała za to Kraków i z kolei opowiadała kuzynom o prześlicznych kościołach, o Wawelu, Sukiennicach, o kopcach Wandy, i Krakusa, oraz o wszystkich tych starożytnych gmachach, jakie Kraków posiada. Helenka i Tadzio zaciekawieni, zadawali jej pełno pytań. Skoro mówiła o jakim kościele, nie mieli spokoju, aż się dowiedzieli czy był gotycki, romański, czy też w stylu odrodzenia. Na to jednak Marynia nie umiała odpowiedzieć.

A ponieważ zaprzyjaźniła się już z nimi serdecznie, mówiła z uśmiechem:

— Gdybym była wiedziała, że mam tak mądrych kuzynków, byłabym się lepiej przygotowała na ich poznanie i potrafiłabym im odpowiedzieć. Ale skąd wy to wszystko wiecie?

— Skąd? — zawołała Halinka. — Widzisz, byliśmy zupełnie nieświadomi przed wakacjami, ani nam nawet do głowy nie przyszło, patrzeć uważnie na kościoły i gmachy, które mijaliśmy co dnia, chodząc po ulicach. Ale żeby nas



Warszawa. Stare Miasto.

rozerwać przez czas wakacyi, bo tak wypadło, że je spędzamy w Warszawie, ojciec oprowadza nas po mieście i różne ciekawe rzeczy opowiada.

— Uczy nas patrzeć — dodał sentencyjonalnie Tadzio.

— A możeby i mnie tego nauczył? — spytała zaciekawiona Marynia.

— Chodź z nami na pierwszą wycieczkę, a zobaczysz, że to wcale nie trudno. Powiedzmy ojcu, że chcesz iść z nami.

— We troje będzie nam weselej — dodał grzeczny Tadzio.

Pan Jaczyński zgodził się z największą chęcią na życzenie Maryni i, jak tylko zdarzył się dzień sposobny, poszli we czworo.

Tym razem skierował się na Podwale, a potem Dunajem na rynek Starego Miasta.

— Ii! — odezwała się Halinka. — Tatuś Maryni najbrzydsze rzeczy w Warszawie pokazuje.

— Czy doprawdy one takie brzydkie — uśmiechnął się ojciec.

Dzieci spojrzały na siebie zdziwione.

— Rynek krakowski daleko piękniejszy — odezwała się Marynia.

— Nie przeczę — odparł pan Jaczyński — ale też rynek krakowski nosi ślady panowania Jagiellonów, ma tak okazałe budowle, jak kościół Maryacki, Sukiennice, wieżę ratuszową, a przytem w około piękne pałace, bo tam były siedziby magnackich rodzin i dotąd ześrodkowywa się cały ruch miejski. Warszawa nie miała tak świetnej przeszłości, jak Kraków, a dziś nasz rynek Starego Miasta jest siedliskiem ludzi ubogich; brak mu pierwszorzędných sklepów i pałaców.

— No tak, ale co ojciec tu widzi ładnego? — spytała zawsze rezolutna Halinka.

— Co? cechy sarożytnie. Wolę patrzeć na te wązkie domy niż na różne nowe kamienice, budowane po większej części bez smaku i stylu. Te domy przedstawiają mi życie dawnych mieszkańców, stawiano je według potrzeby i środków, nie zaś na spekulacye. Mieszkały w nich całe pokolenia, domy przechodziły z ojców na synów, zawierały pamiątki rodzinne.

— Ale dlaczego one są takie wązkie? — spytała Marynia.

— Zapewne — odezwał się Tadzio, który coś słyszał o ruchu budowlanym Warszawy — place były drogie.

— Czy tak, wujku? — spytała Marynia. — A ja znowu słyszałam nieraz, że dawniej ziemię można było dostać za bezcen, a dzisiaj jest coraz droższa.

— Ziemia — wyrzekł pan Jaczyński — za czasów, gdy budowano Stary Rynek, drogą wcale nie była, ale w miastach, przy nieustannych wojnach i najazdach, szło o to, by się pomieścić w przestrzeni obronnej, opasanej murami i fosami, do której dostęp był tylko wolny przez warowne bramy. Dlatego stawiano domy tak bardzo wysokie.

— Prawda — zawołał Tadzio, — że one mają tyle pięter.

I zaczął je liczyć..

— A jak to zabawnie — wołał — cztery piętra, kawałek dachu i znowu piętro. Ja chciałbym w takim domu mieszkać.

— E! — wtrąciła Halinka — już ja wolę te starożytnie domy oglądać, a w nowych mieszkać. Nieprawdaż ojciec!

— To już zależy od gustu.

— Jakoś wszyscy mają taki gust, bo nikt z naszych znajomych tutaj nie mieszka.

— Dawniej — mówił pan Jaczyński — były inne potrzeby, o prawdziwej wygodzie jak ją dziś pojmujemy, nikt nie myślał. Naprzykład nikomu nie przyszło do głowy, by do jednego mieszkania potrzeba było dwóch wejść i schodów. Przytem przy tak wielkiej oszczędności miejsca, klatki schodowe są wązkie i ciemne, najczęściej z góry oświetlone, dziedzińce podobne są do studzien, a dzisiejszemu pokoleniu potrzeba koniecznie do zdrowia światła i powietrza. Przytem cały ruch miejski, biura, szkoły, sklepy i t. p. przeniosły się do nowych dzielnic. Kto może więc, szuka sobie odpowiednich warunków.

— To biedni są ludzie, którzy tu muszą mieszkać — rzekła Halinka.

— Dawniej — mówił dalej ojciec — ludzie mniej zamykali się w izbach, przytem ogólnie byli silniejsi i zdrowsi od nas, chociaż mieszkania nie odznaczały się wcale higienicznym urządzeniem, nie zwracano na nie uwagi i nie miano o nich pojęcia. Ale za to miasto było małe, otaczały je pola, ogrody, lasy, skąd napływało świeże powietrze. Na rynku zaś Starego Miasta osiedli przedniejsi z pomiędzy mieszczan warszawskich, mieli swoje tradycye. Jest tu na przykład kamienica Fukiera, będąca od kilku wieków w posiadaniu jednej rodziny.

— Czy to tu? — spytał Tadzio, wskazując szyld winnego sklepu z tym nazwiskiem.

— Nie, ta kamienica nabytą została na początku zeszłego wieku przez jednego z Fukierów, wraz ze sklepem winnym, który tu istniał od bardzo dawna. Wejdzmy do sieni, bo to jedna z najbardziej charakterystycznych.

Weszli więc do pięknej, sklepionej sieni i ujrzeni zawieszony u stropu okręt, misternie wyrobiony, jako godło stanu kupieckiego. Dzieci napatrzeć mu się nie mogły i byłyby chciały obejrzeć go zblizka. Dziwiły się też ogromnej grubości murów.

— Prawda ojciec, że tutaj ślicznie — zawołał Tadzio — ja żałuję, że tu nie mieszkamy, mógłbym codzień przyglądać się okręcikowi.

Gdy jednak zobaczył ciemne wschody, w których tylko z góry przebłyskiwało jakieś światelko, bo kamienica była czteropiętrowa, zgodził się z Halinką, że jednakowoż przyjemniej jest mieszkać w nowym domu.

— A teraz — wyrzekł pan Jaczyński, stając przed domem na rogu Starego Rynku i Wązkiego Dunaju — przypatrzcie się tej kamienicy, bo utrzymują, że to najstarsza w całej Warszawie.

— Ojciec, ojciec! tu jest wykusz — zawołała Halinka.

— Wykusz — powtórzyła Marynia ze zdziwieniem, bo nigdy się z tą nazwą nie spotkała.

To ten wiszący pokoik tak się nazywa — tłumaczył jej Tadzio.

— Taki wykusz — mówiła Halinka — mógł służyć do obrony, widać z niej kilka ulic i okna są gęsto zakratowane.

## Przygody królewicza Edwarda.

(Dalszy ciąg).

— Zobaczmy! — zawołał Canty, odpychając Milesa, który księcia silnie objął ramieniem, ale w tej chwili Miles prawą ręką wy dobył miecz z pochwy i zawołał.

— Precz! jeżeli się go dotkniesz, nędzniku, to nadzieję cię, jak gęś na rożen!

Canty widząc, że to nie przegawki, odskoczył na bok, mrużąc pogrózki i kłatwy, i wkrótce zniknął w tłumie, a Miles z księciem weszli na trzecie piętro, gdyż tu znajdowała się skromna izdebka Milesa. Biedny książę upadał ze znużenia i głodu. Rzucił się na łóżko swego opiekuna i na pół senny rzekł:

— Obudź mnie, gdy przyniosą wieczerzę, i w tej chwili zasnął.

Miles Hendon uśmiechnął się i rzekł do siebie:

— Przypisałem biedaka, a on, nie pytając się nawet o pozwolenie, zabrał mi łóżko i zaprasza się na wieczerzę.

Po chwili przyniesiono gorący posiłek; Miles obudził księcia, który z całą naiwnością królewskiego dziecka wymagał od niego honorów i ceremonii, do jakich był przyzwyczajony, gdy zasiadał przy stole na ojcowskim dworze, a dobry Miles, przypisując to wszystko jego pomieszeniu, litował się nad dzieckiem, i z namaszczeniem odgrywał rolę wiernego dworzanina przy młodym księciu. Po wieczerzy książę rozweselił się i prosił Milesa, aby mu opowiedział swoją historję. Choć zacny rycerz uważał księcia za chorego na umyśle, jednak zdumiewała go bystrość jego pytań, i co chwila zdawało mu się, że rozum dziecka powrócił, dla tego też i teraz nie dał się długo prosić i w te słowa zaczął swe opowiadanie;

— Ojciec mój, sir Ryszard Hendon z Hendon Hall w hrabstwie Kent, jest bardzo bogatym człowiekiem. Matkę straciłem w dzieciństwie, zinas trzech braci starszy ode mnie Artur jest równie dobry jak ojciec, a najmłodszy Hugo, niestety, przewrotny i podstępny. Chowała się razem z nami kuzynka nasza, Edyta, bogata dziedziczka licznych włości i jednego z najstarszych imion w Anglii. Ojciec nasz był jej opiekunem, była piękna i dobra jak anioł. Prawie od kolebki zaręczono ją z Arturem, gdyż ojciec jej przed śmiercią tak postanowił. Gdy Artur miał lat dwadzieścia dwa, a Edyta szesnaście, ojciec mój życzył sobie, aby się pobrali. Niestety, Artur kochał Edytę jak siostrę, ale inna paniątka była damą jego serca i tamtę chciał poślubić, my zaś z moją czarownicą kuzynką kochaliśmy się wzajemnie.

Gdy rozpacziałem nad moim losem, dobry Artur pocieszał mnie, że z pomocą Bożą i wytrwałością przeczekamy złe chwile, że ojciec się zgodzi na nasz związek i przyjdzie dzień, gdy wszyscy będziemy szczęśliwi. Ale Hugo także powziął zamiar poślubienia Edyty, choć ona go nie lubiła i utrzymywała, że kochał tylko jej posąg!

Ojciec nasz był już wtedy trochę dziwak, więc sprytny i układny Hugo, stał się jego ulubieńcem i miał na niego wpływ ogromny. Ja byłem żywego, gwałtownego charakteru, kłamstwa i podstępny Hugona bardzo mnie gniewały i byłem z nim w ciągłych nieporozumieniach. Artur był słabego zdrowia, niedobry Hugo liczył na to, że śmierć starszego brata uczyni wkrótce wolną naszą kuzynkę, a mnie postanowił pozbyć się innym sposobem. Usnuł całą intrygę, kazał w moim pokoju podrzucić jedwabną drabinkę, jakoby ją miał zamiar wykraść Edytę i zaślubić ją przeciwko woli ojca. Zacny nasz ojciec miał dziwną słabość do tego chłopca, uwierzył wszystkim i za karę skazał mnie na trzyletnie wygnanie, nietylko z domu rodzinnego, ale i z Anglii, mówiąc, że wśród obcych ludzi wyjdę na człowieka. Nie miałem szczęścia — wiele biedy

wycierpiałem, zaciągnąłem się do wojska za granicą, wzięty byłem do niewoli i siedm długich lat byłem więźniem. Dziś biedny i obdarty wracam do Hendon Hall, lecz drzę na myśl, co tam zastanę.

— Biedny rycerzu — zawołał książę ze współczuciem — jakże cię skrzywdzono! Ale ja przywrócę ci twoje prawa!

Wzruszony opowiadaniem Milesa i wiedząc już teraz, kto jest jego przyjacielem, książę opowiedział rycerzowi swoje przygody, a później poprosił, aby Miles zdjął z niego te łachmany żebrać, gdyż pragnie odpocząć po tym dniu pełnym wrażeń.

Miles nie wiedział, co myśleć o tem nadzwyczajnem dziecku, nie mógł przypuścić, aby ono było istotnie księciem Walii, a jednak mowa jego, obejście, wytworna bielizna pod łachmanami, dowodziły jasno, że prawdą jest, co mówił o sobie.

Dobry Miles w skutek tych myśli ułożył księcia wygodnie na łóżku przeznaczonem dla siebie, a sam spędził noc, siedząc na krześle, z głową opartą na stole. Późno już było, gdy się obudził zeszytniały, z powodu niewygodnego spoczynku; przeciągnął się energicznie i z przyjemnością spojrzął na ślicznego chłopczyka, który uśmiechając się przez sen, spał smacznie w jego łóżku. Po chwili Miles, wzięwszy za pomocą sznurka delikatnie miarę długości dziecka, wyszedł pocichu, by kupić u tandeciarza, bo nie miał wiele pieniędzy, jakie skromne ubranie dla swego protegowanego, lecz któż opisze jego przerażenie, gdy wróciwszy w pół godziny z kupionem ubraniem w rękę, nie znalazł dziecka ani w łóżku, ani w pokoju. Zbiegł na dół jednym pędem i spostrzegłszy służącego, który niósł mu właśnie śniadanie, zapytał piorunującym głosem:

— Gdzie jest chłopiec?

Wystraszony służący urywanym głosem opowiedział, że w chwilę po wyjściu Milesa przybiegł do oberży jakiś wyrostek, mówiąc: że pan rycerz wzywa chłopczyka, aby natychmiast przyszedł do niego przez most w stronę Southwark.

— Zaprowadziłem obcego chłopaka na górę, on obudził dziecko, które usłyszawszy pański rozkaz, prędko się ubrało i poszło z chłopcem w stronę wskazaną.

— A kto kódrę ułożył tak, aby wyglądała, jakby dziecko pod nią spało jeszcze? — zapytał gniewnie Miles.

— Nie wiem, panie, choć przypominam sobie teraz, że gdy dziecko się ubierało, to chłopiec poprawiał pościel na łóżku.

— Idyoto! teraz ci się to dopiero przypomina! Czy przed domem nikt na nich nie czekał? Gadaj! — wrzasnął Miles.

— Przed domem nie było nikogo, ale co prawda wyjrzałem za nimi, i widziałem, że gdy wchodzili na most, to jakiś bandyta przystąpił do nich i prędko poszli wszyscy trzej w stronę Southwark.

— To ten sam łotr, który mówił, że jest ojcem dziecka — rzekł do siebie Miles. — Ale ja cię nie opuszczę, mój mały bohaterze, twój przyjaciel musi cię odnaleźć.

To mówiąc, przypasał miecz i szybko udał się przez London Bridge w stronę Southwark. Tymczasem biedny książę, jak tylko na moście zobaczył Cantego, który kulejąc, powoli szedł za nimi, stanął jak wryty i powiedział owemu chłopakowi, że dalej nie pójdzie, niech Hendon sam po niego przyjdzie. Ale obcy chłopak rzekł:

— Jeżeli chcesz, to zostań tutaj, ale wiedz, że twój przyjaciel leży chory w tym oto łasku.

— On ranny! — zawołał książę — a więc prowadź mnie prędzej do niego i pobiegł szybko ku lasowi.

Tutaj chłopak bacznie się rozglądając, zaprowadził księcia do na pół rozwalonej stodoły, a gdy książę, nie widząc tam nikogo, zapytał:

— Gdzie jest mój przyjaciel?

Szyderczy śmiech odpowiedział mu na to pytanie.

Oburzony do najwyższego stopnia, gdyż zrozumiał w tej chwili, że to była zasada, porwał z ziemi kawał

drzewa i uderzył nim z całej siły niegodziwego chłopaka, ale zaraz uczył na ramieniu jakąś żelazną rękę i usłyszał wstrętny mu głos Cantego:

— Uspokój się i posłuchaj twego ojca.

— Ty nie jesteś wcale moim ojcem, ja cię nie znam. Powiedz, co zrobiłeś z moim przyjaciелеm? — zawołał książę rozkazująco.

Na to Canty rzekł surowym głosem:

— Żeby nie twoje szaleństwo, to inną dałbym ci odpowiedź, ale nie przebieraj miary mej cierpliwości. Włóż teraz w twoją głupią głowę, że odtąd nazywam się John Hobbs a ty Jack, i powiedz mi, gdzie jest twoja matka i twoje siostry?

— Moja matka nie żyje, a moje siostry są w pałacu — rzekł książę pośepnie.

Usłyszawszy te słowa, wyrostek, który księcia przyprowadził do lasu, wybuchnął szyderskim śmiechem, oczy dziecka zapalały gniewem, co widząc Canty, powiedział wyrostkowi, aby nie drażnił małego, lecz odszedł z nim na stronę naradzić się o ważnych rzeczach.

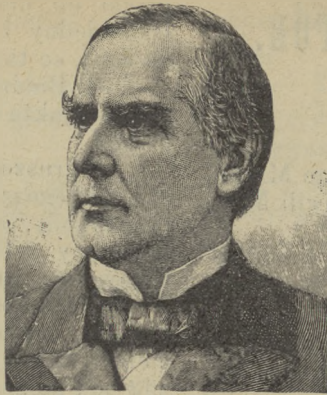
Po ich odejściu książę zakopał się w słomę, które było sporo w jednym rogu stodoły i zaczął rozmyślać w jaki sposób uciec od Cantego i odnaleźć wiernego Milesa Hendon. Wśród otaczającej go ciszy usłyszał, jak krople deszczu zaczęły padać na pozostały jeszcze dach stodoły. Ten jednostajny szmer uspił go, gdy się przebudził, zobaczył opodal wielkie ognisko, a dokoła niego postacie, na których widok włosy powstały mu na głowie. Byli tam mężczyźni w sile wieku, wyrostki, stare i młode kobiety, wszyscy brudni, chudzi, ohydni. Spiewali ochryplym głosem, popijali wódkę, zajadali chleb i mięso. Jeden z nich wyższy i silniejszy od innych tak mówił:

(d. c. n.)

## Spotkanie się Jana III z Leopoldem II.

Dnia 16 kwietnia 1683 r. ogłosił sułtan wyprawę przeciw chrześcijanom i wielki wezyr Kara Mustafa wyruszył tegoż dnia na czele 500,000 wojska z Konstantynopola. Wydobyto chorągiew Mahometa, dano rozkaz chanowi tatarskiemu, aby biegł w pomoc sułtanowi i nawała turecka szła zdobywać Wiedeń.

W Wiedniu rezydował wtedy cesarz niemiecki Leopold, a miał on trosk niemało, bo równocześnie z wojną tureką zagrożiła Austrii wojna z królem francuskim Ludwikiem XIV. Na wieść jednak o pochodzie pogańskim, który groził Europie chrześcijańskiej, cofnęła Francja swoją armię, wielu nawet odważnych rycerzy pospieszyło z Paryża nad Dunaj, żeby własnymi piersiami bronić św. wiary. Rzym błagał wszystkich o pomoc dla zagrożonego Wiednia, składał ofiary pieniężne na cel nowej krucjaty, ale oczy całego chrześcijańskiego świata szukały ocalenia tam, skąd jedynie od Chocimskiego pogromcy Turków przyjsć mógł skuteczny ratunek... i przyszedł. Król Jan III



Wiliam Mac-Kinley.

Sobieski dał się ubłagać prośbom posła cesarskiego i Papieskiego:

— Królu ratuj Wiedeń — wołał pierwszy.

— I chrześcijaństwo — dodawał drugi:

Wnuk, a mściciel bohaterskiego Stanisława Żółkiewskiego nie pozostał głuchy na prośby uciśnionych. 15 sierpnia, w dzień święta Matki Boskiej, wysłuchał Sobieski uroczystego nabożeństwa w Krakowie i ruszył pod Wiedeń, zabierając z sobą 16 letniego syna Jakóba. Towarzyszyli królowi hetman koronny Jabłonowski i hetman polny Sieniawski. Na litewskie wojsko nie było czasu czekać. Wiedeń od miesiąca oblegany, mógł tylko cudu wyglądać i doczekał się go.

Bo iście cudowną była ta siła rycerskiego poświęcenia, jakaniosła nieliczne wojska polskie przez Opawę szląską, Berno morawskie, przez szeroko rozlany Dunaj, aż pod mury Wiednia. Taż sama jazda skrzydlatych

husarzy, których proporce leciały w tryumfie na pola Kirchholmu za Szwedem, którymi Czarniecki rozbijał najezdźce hufce Karola Gustawa, taż sama husaryja zwała się teraz na olbrzymi obóz turecki. Garść ludzi przeciw tysiącom, ale ci ludzie nie oszczędzali krwi za dobrą sprawę, a prowadził ich do bitwy doświadczony wódz, zwycięzca z pod Chocimia.

Znali Turcy Sobieskiego, jego też imię wniosło postrach w pogańskie szereg; Kara Mustafa załamał ręce na wiadomość, że polskimi i niemieckimi wojskami dowodzi Jan III. I nie płonne okazały się nadzieje chrześcijaństwa, niepłoną obawa Turków; poszli oni w rozsypkę; Sobieski posyłając papieżowi chorągiew Mahometa, napisał godnie siebie słowa „Przybyłem, zobaczyłem, a Bóg zwyciężył.”

Tak ocalał Wiedeń; oswobodzony z oblężenia lud niemiecki cisnął się do nóg Jana III, całowano stopy króla, zowiąc go zbawicielem. Tylko cesarz Leopold nie spieszył z oznakami wdzięczności na przeciw polskim hufcom. Zazdrościł sławy Sobieskiemu, nie odczuł doznanego dobrodziejstwa, jak nie odczuł prostoty bohaterstwa tych zastępów husarskich, które przybiegły na ratunek zagrożonym.

I chłodno skłonił głowę, wymawiając obojętnie słowa podzięk, jak to widzimy na rycinie, przedstawiającej spotkanie dwóch monarchów. Jan Sobieski mógł znieść jednak spokojnie niewdzięczność Leopolda, bo na pociechę zostało mu przeświadczenie, że spełnił obowiązek rycerza, że uratował cywilizację chrześcijańską i zyskał wiekopomną sławę.

Z. B.

## Wiliam Mac-Kinley.

Dnia 14 września zmarł w Buffalo prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, największego i najpotężniejszego państwa drugiej półkuli ziemi naszej, z którym czytelnicy „Wieczorów” zapoznali się w roku zeszłym dzięki powieści Juliusza Verne'a „Testament Dziwaka.” Zmarły prezydent, Wiliam Mac-Kinley zginął, rzecz można, na stanowisku, gdyż oglądając wystawę wszechamerykańską w Buffalo, padł ofiarą ohydnej zbrodni, podobnie jak w roku zeszłym król włoski, Humbert.



Kościół katedralny w Mińsku. (str. 312).



*Spotkanie się Jana III z Leopoldem II.*

*Artur Grotger.*

Był to człowiek niezwykłych zdolności, pracowitości i siły woli, i z tego względu zaliczony być może do rzędu tych znakomitych ludzi, którzy sami sobie zawdzięczają wysokie swe stanowisko. Urodzony w r. 1844 w stanie Ohio, pochodził z ubogiej rodziny rzemieślniczej. Ojciec jego był gisierem, którego dziewięcioro dzieci musiało własnymi siłami na chleb zarabiać. Wiliam ukończył szkołę miejską i jako 17 letni młodzieniec rozpoczął karierę w charakterze nauczyciela ludowego. Później został podrzędnym urzędnikiem na poczcie. W tym czasie ojcu jego po długich staraniach udało się umieścić Wiliama w akademii prawniczej w Poland.

Mac-Kinley już wśród kolegów uniwersyteckich zajął wyróżniające się stanowisko jako obdarzony zdolnością prowadzenia obrad. Studenci w Poland założyli stowarzyszenie literackie, a Mac-Kinley wybrany został na prezesa.

Marzeniem stowarzyszonych było, aby lokal klubu przyozdobić dywanem.

Jakoż dzięki dobrowolnemu opodatkowaniu i oszczędności, zakupiono wielki dywan zielono-złoty. Młodzieńcy tak byli nim zachwyceni, że przyrzekli sobie, iż nigdy but nie dotknie tak wspaniałego dywanu. Wystosowano tedy odezwę do panien miasta Poland o dostarczenie członkom stowarzyszenia literackiego — pantofli. Humor w stylu amerykańskim znalazł tu podatne pole.

Dostawa pantofli trwała pewien czas, a zgromadzenia nie chciano odkładać. Pierwsze więc zebranie po kupnie dywanu upamiętniło się tem, że członkowie i goście pozostawili obuwie w przedpokoju, a podczas zebrania siedzieli w półczochach. Mac-Kinley przewodniczył posiedzeniu także bez butów.

Wkrótce potem wybuchnęła wojna między Stanami północnymi i południowymi i Wiliam Mac-Kinley zaciągnął się do wojska.

Odbył całą kampanię bardzo zaszczytnie, a opuszczając służbę po wojnie, licząc dopiero 22 lat wieku, miał już stopień majora.

Dokończył następnie studyów prawnych i został adwokatem.

Karyera adwokacka bez klientów zaczynała mu już do żywego dokuczać, gdy dostał do obrony sprawę lekarza, którego pacjent oskarżył o złe zestawienie złamanej nogi i żądał wynagrodzenia za okulawienie. Na sądzie pacjent zawiązał ubranie za kolana i ukazał krzywą nogę. Dowód był oczywisty; miano już wyrokować, gdy obrońca lekarza zwrócił się do pacjenta z propozycją, aby i drugą nogę pokazał. Skarżący wzbierał się, lecz zmuszono go — i okazało się, że obie nogi miał krzywe z natury.

Lekarz wygrał sprawę, a Mac Kinley odrazu został głośnym adwokatem.

Po kilkunastu latach, jako poseł swego Stanu, wstąpił do kongresu i wkrótce dał się poznać całemu krajowi, jako projektodawca i obrońca praw, mających na celu wzniesienie rolnictwa i przemysłu amerykańskiego i wyswobodzenie go z pod wpływu Europy. Działalność jego w tym kierunku wzmogła bogactwo Stanów, nadspodziewanie szybko, w skutek czego dnia 4 listopada 1895 r. wybrano go na najwyższą godność — prezenta państwa, i godność tę objął d. 4 marca 1896 r. W ciągu pierwszego czterolecia przeprowadził szczęśliwie wojnę z Hiszpanią i powiększył Stany Zjednoczone zaborem Kuby, Portoryka, wysp Filipińskich i Hawajskich. Kiedy w r. 1900 upłynął przepisany konstytucją czteroletni okres prezydentury Mac-Kinleya, obywatele powołał go powtórnie na to stanowisko.

W życiu prywatnem i rodzinnem zmarły prezydent odznaczał się pracowitością i uprzejmością charakteru. Z małżonką swą, Idą z domu Saxton tworzyli parę najbardziej popularną i lubianą w całej Unii. Bóg zabrał im dwoje jedynych dzieci w młodym wieku, to też niespodziana i straszna śmierć męża jest dla wdowy tym większym ciosem, gdyż opuści rezydencję prezydentów amerykań-

skich w Waszyngtonie, zwaną „Białym Domem” zupełnie sama, nie mając przy sobie nikogo z tych najbliższych, których opieka i czułość mogłyby choć w części ukoić jej okropną boleść.

Następcą Mac-Kinleya, w myśl konstytucji amerykańskiej, zostaje aż do końca czteroletniego okresu, t. j. do 4 marca 1904 bez nowych wyborów — dotychczasowy wice-prezydent, Teodor Roosevelt, ur. w 1851 roku. Odznaczył się w wojnie kubańskiej, jako dowódca pułku lekkiej kawaleryi i jest podobno człowiekiem bardzo zdolnym i energicznym.

## Dzienniczek Wandzi.

(Dalszy ciąg).

Potem już ojciec rozwodzi się tylko nad projektem naszego przyjazdu do Japonii, aby być bliżej niego i móż częściej odbierać wiadomości. Stąd do porozumienia się z ojcem potrzeba nam pięć tygodni prawie, a z Nagasaki tylko tydzień. Jeśli wszystko będzie gotowe, to około 15-go września lub 1-go października wyruszymy w drogę. Myśl ta dodaje nam otuchy i jakoś raźniej nam na duszy. Trzeba teraz robić starania, aby nam dano wolny przejazd, bo w jedną stronę dla nas obydwóch kosztowałyby podróż przeszło 1000 fr. a przecież i tak ta sama suma będzie nam w drodze potrzebna, bo mieszkanie w hotelach nie raz po kilka, a może nawet kilkanaście dni, czekając statku, jest bardzo kosztowne. Zabrały się więc moje panie, to jest mamusia z panią Péllacot do pisania listów do gubernatora pana Doumer, z prośbą nie tylko o wolną drogę, ale także o listy polecające do wszystkich konsulów po drodze, aby nam służyli pomocą i opieką, w razie gdy tego potrzebować będziemy. O gubernatorze Doumer, którego tutaj ogólnie chwalą bardzo, opowiadał nam pan Dubois, mieszkający swego czasu w Saigon, gdzie gubernator przebywa i o jego szczęśliwym pożyciu z żoną. Mają pięcioro dzieci, ślicznych i bardzo dobrze wychowanych. Sama pani ma być osobą bardzo dystygowaną, a przytem jako dobra żona i matka cieszy się ogólnym szacunkiem. Pan Dubois twierdzi, że bez trudności da on nam wolny przejazd do Nagasaki, nawet jako czuły mąż i ojciec będzie pochwalał chęć mamusi i pani Péllacot udania się za mężami, nie bacząc na trudy i niewygody podróży, które mogą nas czekać w tych dalekich krajach.

Już teraz tylko u nas o tem mowa, jak się w podróży urządzić co z sobą wziąć, co zostawić, i tak bez końca. Dużo także czasu zabiera mi pisanie listów, a wszyscy w kraju są tam o nas bardzo niespokojni, bo z głoszonych przez dzienniki telegraficznych doniesień przypuszczają, że tatuś na wojnę odjechał i troszczą się, co się z nami dzieje.

Pomagam także mamusi w pisaniu listów do rozmaitych władz, o potrzebne nam papiery, a także do agencji statków po informacye, jakim statkiem najlepiej jechać.

Najdłuższe, najobszerniejsze listy piszemy do ojcuszka, opisując mu wszystko, co się u nas dzieje, najinniejszy wypadek, każdą naszą rozmowę, plan, myśl. Jeśli te listy dochodzą, to doprawdy ojcuszek może mieć uczucie, jak gdyby był między nami.

Mebłe wszystkie się sprzedają, służbę oddali, chociaż ojcuszek życzy, aby zabrać z sobą Thiong'a, ale mana nie chce, bo on tak jak i my, po chińsku ani japońsku nie umie, więc nie byłby dla nas żadną pomocą. Żal mi będzie rozstawać się z nim, taki był dobry i wierny. Pomimo, że Anamici skłonni są do kradzieży, ale od czasu, jak ojcuszek odjechał, był dla nas nieskończenie życzliwy i przychylny.

Jeśli wszystko pójdzie po myśli i nie będziemy mieli żadnych przeszkód, to za pięć tygodni możemy już być w Tientsinie. Wyjeżdżając stąd zatelegrafuje mamusia do ojca, aby więcej tu listów nie wysyłał.

Deszcz lał przez trzy dni, ale to potokami, to też wilgoć mamy nie do opisania. Ściana od której strony deszcz padał, cała mokra. Wczoraj ukazało się trochę słońca, więc mamusia z panią Péllacot kufry z rzeczami wynosiły na gwałt na werendę, bo wszystko wilgotne pokrywają się grzybami, butwieje, pomimo że mamusia jest bardzo staranna. Ale tutaj jak ciepło, to zaraz upał, ale jak pada, to w pokoju nic nie wyschnie, chociażby i trzy dni wisiało. Pościel mamy zupełnie wilgotną, a termometr spadł na 20 stopni, co przy tutejszej wilgoci stanowi prawdziwe zimno.

Pomimo pasa, którym tu się każdy przewiązuje, zaziębiłam się i dostałam okropnych boleści. Mamusia się zaraz bardzo przeraziła i za poradą pani pułkownikowej zatrzymała mnie w łóżku całe dwa dni. Ciągłe piłam gorącą herbatę, a dzieci bawiły się przy mnie, wcale mi więc smutno nie było.

Tutaj usnąć z upału nie można i trzeba długo się wachlować, aby wogóle mózg spokojnie wyleżeć, a w nocy nie raz się zdarzy obudzić z zimna, dla tego doktorzy tak zalecają koniecznie nosić pas nawet w nocy.

Kiedy tak leżałam, krzepiąc się gorącą herbatą, wieczorem usłyszeliśmy świst syreny i zaraz były debaty, czy przyjdą listy i od kogo. Godzinę trwały te rozmowy, aż tu nareszcie zaturkotały koła *pousse-pousse* i zatrzymał się przed domem. Mamusia pobiegła do okna.

— *C'est le courier?* zapytała.

— *Oui madame*, usłyszeliśmy odpowiedź. Pani Péllacot schwyciwszy za lampę, zbiegła szybko ze schodów i w kilka chwil, była już z powrotem niosąc paczkę listów i gazet. Pośród listów z Polski i z Francji, były dwa od ojca. Mamusia schwyciła je z okrzykiem radości rozdarła kopertę i zaczęła czytać głośno. Ojczuszek dawał nam jeszcze rozmaite informacje, co do naszej podróży i dopytując się z wielką troskliwością o nasze zdrowie, donosi co następuje.

— Jestem na warcie w telegrafie chińskim, znajdującym się trochę za miastem. Uprowadzono mnie wczoraj, że będę prawdopodobnie atakowany w nocy. To też przedsięwziąłem wszelkie ostrożności, porozstawiałem pikiety za dnia, obejrzałem pozycję do obrony i koło 9 położyłem się spać. Warta w telegrafie jest bardzo smutna. Cały gmach podziurawiony kulami armatnimi, śliczne niegdyś rzeźbione meble leżą w kawałkach, jak również drogie porcelany, wazy, lustra i t. p. rzeczy. Wszystko naturalnie już od dawna splądrowane, kufry rozbite, szuflady wyciągnięte i... próżne.

Podczas bombardowania Tientsinu bardzo wielu na tej warcie było zabitych, to też żeby daleko nie chodzić na ogromnym podwórzu bióra telegraficznego urządzono cmentarz. Od 7-go lipca do dzisiaj pochowano tam 64 żołnierzy francuskich, jest pomiędzy nimi także grób kapitana i porucznika P. zabitych przy zdobywaniu miasta.

Ponieważ powietrze było ciężkie, a na cmentarzu jest kilka drzew, więc postawiłem sobie fotel koło grobów i tam siedziałem, tem więcej, że to miejsce było najwygodniejsze w razie ataku. Rozmyślając tak sobie o znikomościach tego świata, około północy usłyszałem jakiś szelest, zrywam się, stoi koło mnie dwóch Chińczyków, chwytam za rewolwer, a ci padają na kolana, wołając: „*coolis, coolis, Catho liques.*” Byli to rzeczywiście tragarze chińscy, którzy przyszli kopać grób dla jednego żołnierza.

W godzinę potem usłyszałem pierwszy wystrzał armatni, ale daleko dosyć i z lewej strony od naszego telegrafu, następnie kilka innych, później wystrzały broni ręcznej, jednym słowem bitwa, ale ciągle dosyć daleko i z lewej strony odemnie. Nie mogłem iść na pomoc, bo za opuszczenie warty idzie się pod sąd wojenny, ale ciągle przygotowany czuwałem do rana. Dowiedziałem się póź-

niej, że Chińczycy rzeczywiście byli blisko i napadli wartę o 5 kilometrów odemnie stojącą, złożoną z Japończyków, którzy się dzielnie bronili do 4-tej rano. Mieli już 40-tu zabitych, aż wreszcie naddiegły inne oddziały z pomocą i odepchnęli Chińczyków od miasta, a było ich podobno około 10,000.

Piłem tylko mleko od kilku dni i strasznie mi się chciało jeść; kazałem więc Lassalowi, postarać się gdzie o jaja i zrobić omelet. Jak wiecie, brakuje mu sprytu ogólnie, ale tym razem jakoś się spisał, udało mu się kupić nietylko jaj ale masła i chleba, a nawet herbaty i z wielką dumą postawił to wszystko na stole. Życzcie mi apetytu moje kochane.

Następny list był datowany 5-go sierpnia i w nim ojczuszek donosi:

— Chińczycy ufortyfikowali się w swoim mieście w nadziei rzucenia się znowu na Tientsin, ażeby go odebrać. W Tientsinie zostało tylko 500 żołnierzy różnej urodowosci dla obrony miasta.

Ciągnęliśmy losy, kto ma zostać na straży dla obrony i na mnie wypadło; zazdrościłem innym, że poszli a ja musiałem zostać w dodatku dla znajomości języków. Rząd międzynarodowy miasta chce mnie zanominować komisarzem policji francuskiego cyrkułu. Honor to wielki, ale do końca wojny nie mógłbym się ztąd ruszyć. W tym cyrkułe jest około 50,000 mieszkańców, więc roboty miałbym strasznie dużo. Policja międzynarodowa jest bardzo surowa: za grabieżę w domu prywatnym rozstrzelają w ciągu 24 godzin. Z powodu mnóstwa wojska życie tu podrożało, a przytem bardzo mało żywności.

Wczoraj wysłałem mego służącego Chińczyka po jaja za miasto i więcej nie powrócił; dzisiaj go rano znaleźli zabitego z koszem w ręku i kilku rozbitemi jajkami. Lassale, którego dzisiaj rano posłałem konno do miasta europejskiego, strasznie długo nie powraca, oby go tylko nie zabili.

(d. c. n.)



## ZE ŚWIATA.

**Wystawa w Mińsku.** W pierwszej połowie września r. b. odbywała się w mieście gub. Mińsku wystawa rolniczo-przemysłowa, urządzona przez miejscowe Towarzystwo Rolnicze.

Złożyły się na nią okazy działalności i wytwórczości mieszkańców kilku okolicznych gubernii na polu gospodarstwa wiejskiego, rzemiosł, fabryk i t. p.

Oglądano więc na placu wystawowym, w odpowiednio urządzonych pawilonach, liczne okazy bydła różnych ras, koni cugowych i roboczych, owiec i trzody, nabiał, nasiona różnych zbóż, owoce, dalej plany gospodarstw wiejskich i leśnych, różne maszyny rolnicze, wreszcie wyroby rzemieślników i włościan.

Zwiedzający mogli nietylko zaspokoić swoją ciekawość, lecz i czynić potrzebne zakupy, porównywać i kształcić się w ogóle, nabywając wiele potrzebnych wiadomości; cała zaś wystawa była wyborym obrazem stanu rolnictwa i przemysłu w całej okolicy, wykazującym dodatnie i uje-

me ich strony. Nic więc dziwnego, że cieszyła się wielkiem powodzeniem i miała licznych zwiedzających, tem bardziej, że cała jej strona zewnętrzna, urządzona przez Komitet pod przewodnictwem hr. Jerzego Czapskiego, przedstawiała się nader malowniczo i gustownie.

Wystawa rozłożyła się za rzeką Świsłoczą, w pięknym parku Gubernatorskim, do którego prowadzi szeroka i wysadzana drzewami ulica Zacharzewska.



Ulica Zacharzewska w Mińsku.

Samo miasto liczy obecnie z górą 70,000 mieszkańców, posiada wiele pięknych świątyń i budynków, oświetlenie i tramwaje elektryczne, słowem, ma cechy większego miasta, co mu się „z wieku i urzędu” słusznie należy, gdyż liczy już około dziewięciu stuleci.

Najpierw był głównym grodem plemienia słowiańskiego Krywiczów, potem należał do synów wielkich książąt kijowskich, wreszcie w roku 1195 przeszedł do Mingajły księcia litewskiego, a później następców jego Erdżwiłła, Ryngolda, Gedymina i Jagiełły. Otrzymałszy prawa magdeburskie i liczne przywileje, Mińsk pomimo kilkakrotnych najazdów tatarskich i pożarów wznosił się stale, a w ostatnich czasach, dzięki kolejom, nawet bardzo szybko.

Gubernia mińska należy do rzędu największych, gdyż obejmuje przeszło 80,000 wiorst kwadratowych, przewyższa zatem swym obszarem takie państwa, jak Dania, Szwajcarya, Belgia, Holandia, a nawet Portugalia, południowa jej część zwana *Polesiem*, pokryta jest lasami, błotnistymi

łąkami i bagnami, które obecnie osuszać rozpoczęto. Skropiona rzekami Dnieprem, Niemnem, Berezyną, Prypecią i Świsłoczą posiada wiele jezior. W lasach spotykają się jeszcze niedźwiedzie, łosie, rysie i bobry, oprócz wielkiej ilości wilków i dzików.

Gubernia dzieli się na 9 powiatów: miński, borysowski, ihumeński, bobrujski, rzeczycycki, mozyrski, piński, słucki i nowogródzki; te dwa ostatnie najżyźniejsze i najgęściej zamieszkałe.

## SZARADA.

*Pierwsze trzecie* zarówno niemiłe dla słuchu,  
Czy pochodzi z radości, czy cierpień wybuchu.  
*Drugie trzecie* w przeszłości, wśród pracy mozolnej,  
W ubóstwie się do ławy dociskało szkolnej.  
*Wszystko* w jednym znaczeniu — owad, co wstręt budzi,  
W drugiem — dostarcza futer wykwintnych dla ludzi.

## ZADANIE ARYTMETYCZNE.

— Ile ci jeszcze zostało jabłek, z tych, które przywieźłeś z domu po wakacjach? Czy już wszystkie zjadłeś? — pyta kolegę swego, Julka, trzecioklasista Wacio.

— O! jeszcze zostało mi dużo, bo chcę was zaprosić na niedzielę na podwieczorek.

— Ale ile sztuk masz jeszcze?

— Oblicz! — rzecze na to Julek. — Gdyby do tej liczby, którą posiadam, ktoś dołożył jeszcze  $\frac{1}{9}$  tej liczby i jeszcze 10 sztuk, to miałbym całą kopę.

Ile Janek miał jabłek?

45

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 37.

Szurady: Ko — mo — ra.

## Arytmogryfu:

1) Jurajski. 2) Uwaga. 3) Laaland. 4) Itaka. 5) Ulm. 6) Samum. 7) Zieliński. 8) Solec. 9) Łuk. 10) Obeliski. 11) Wandalowie. 12) Azow. 13) Cincinatti. 14) Kmicic. 15) Iwonicz.

Juliusz Słowacki i Adam Mickiewicz.

**Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na kwartał IV - ty dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.**

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna  
W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA MAZOWIECKA NR. 10.

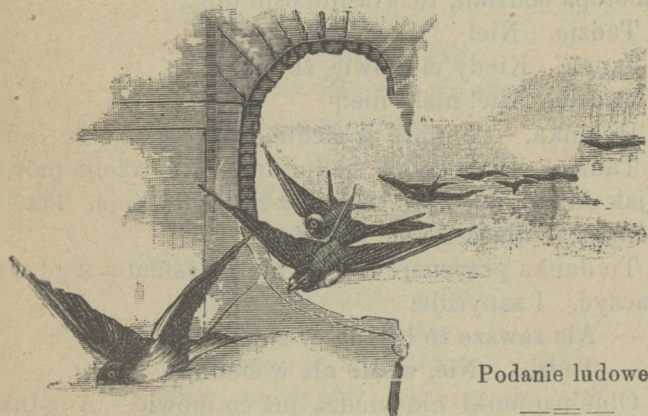
**TREŚĆ:** Wakacje w Warszawie, pogadanka o architekturze, przez Waleryę Marrené Morzkowską (z ryc.). — Przygody królewicza Edwarda. — Spotkanie się Jana III z Leopoldem II (z ryc.) — Wiliam Mac-Kinley (z portretem) — Dzienniczek Wańdzy. — Ze świata (Wystawa w Mińsku) (z ryc.) — Łamigłównki i rozwiązania. — Dodatek: Odlot jaskółek, podanie ludowe (z ryc.) — Zabawki z kasztanów (z ryc.) — Dzieci w podróży. — Królowa Macierzanka, przez Andrzeja Niemojewskiego. — Łamigłównki i rozwiązania. Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Hrabina, powieść przez Teresę Jadwigę.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 9 Сентября 1901 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.



## ODLOT JASKÓŁEK.



Podanie ludowe.

Znacie odlot jaskółek?  
Smutna to chwila...

Nim się jeszcze lato skończy już owe lube ptaszęta, które radośnie wiosnę zwiastowały ludziom, opuszczają nas coprędzej.

Lecą w lepsze światy — i tylko po nich widne są na niebie przez chwilę czarno-białe, żałobne smugi, jak gdyby na pożegnanie...

A mało kto wie, że w każdej wsi jeszcze po odlocie jaskółek zostaje po kilka dymówek i brzegówek aż do dnia św. Tekli.

Nie zabierają ich z sobą towarzyszeki za karę.

Nabroić one musiały wiele w naszych stronach i krzywd ludziom wyrządzić w rozmaity sposób, wynagradzać i odpokutować muszą to na miejscu.

Co zaś najgorsze, same, nie w gromadzie, lecą potem w obce kraje i błędzą długo, zanim odszukają swoją rodzinę.

Na św. Teklę wczesnym rankiem, zbierają się nad wodą z każdej wsi te psotnice pokutujące, radzą, dopóki z pomiędzy siebie nie wybiorą najzwinniejszej — i tej każą przezimować samotnie w wodzie.

A pokutnica zanurzy się w wodę i zniknie na całą jesień i na całą długą zimę, jak gdyby utonęła, przepadła.

Tymczasem ledwie z wiosną brzegi zazielenią się świeżą trawką, wyskoczy z toni jaskółka na powitanie powracających towarzyszek, które się nią radują więcej, niż odnalezionem gniazdkiem rodzinnem.

Gdzie zaś jaskółka pokutnica strzepnie kilka kropli wody ze swych skrzydełek, tam wszędzie wyrasta naza-jutrz jaskółcze ziele.

Kazimierz Kalinowski.

## Zabawki własnej roboty.

Na jesiennych spacerach w ogrodzie dzieci chętnie zbierają kasztany.

Wierzchnia ich zielona skorupa choć ładna, do żadnego użytku służyć nie może.

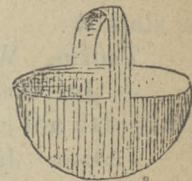
Z owoców zaś samych możemy otrzymać różne małe przedmioty, których obrobienie wymaga pewnej zręczności.

Kasztan ma łupinę miękką, a mięso (miąż) łatwo można scyzorykiem wydostać.

Najłatwiej z kasztanów przyrządzić możemy lejce do zabawy.

Bierze się grubą igłę nawleczoną grubą nitką i nadziewa kasztany.

Z ładnego kasztana wyciąć też można koszyczek; według wzoru podanego wycinamy dwa równe kąty z połowy kasztana, zostawiając skórę na pałączek.

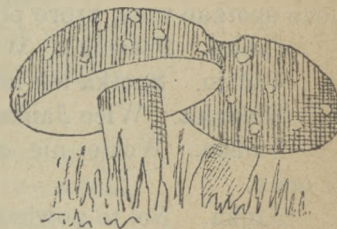


Koszyczek z kasztana.

Następnie, ażeby nie uszkodzić pałączka, ostrożnie wyjmujemy mięso scyzorykiem.

Z przepołowionego kasztana wydobywamy mięso i otrzymujemy: miseczki, wazoniki do kwiatów, łódki, które mogą pływać po wodzie, szalki do wag a także możemy zrobić powozik. W tym celu przewlekamy przez spód kasztana patyczek i wkładamy w niego kółko z brystolu wycięte.

Możemy też z łatwością zrobić grzyby, które doskonale naśladują rzeczywiste grzybki.



Grzybki z kasztana.

Cały kasztan nacinamy w połowie i ostrożnie wybieramy tyle mięsa, żeby zostawić korzonek grzybka.

Ta część kasztana, która zastępuje kapelusz grzybka, może być nacięta w niektórych miejscach, niby grzyb popękany.

U dołu kapelusza nacinamy karby.

Dar.

## DZIECI W PODRÓŻY.

(Dalszy ciąg)

VIII.

Słotny dzień.

W Szczawnicy, tak jak wszędzie, miko jest i wesoło gdy pogoda, ale podczas deszczu, co robić? Wyjść nie

można, miejsca na gry biegane mało, hałasować w pobliżu rodziców nie wolno.

A od rana deszcz taki pada, że góry znikły za mgłą, i możnaby sądzić, że Szczawnica leży na równinie. Dzieci łążą z kąta w kąt i marudzą... Janka wzdycha, Helenka ziewa lub sprzecza się z Jankiem, Janek co chwila opiera nosek na szybie i wygląda, czy deszcz nie ustaje.

W ciężkiej tej chwili Tadzio, bierze w opiekę znużone rodzeństwo i obmyśla rozrywkę. Dobywa z pamięci różne zadania, przeczytane dawniej i przedstawia odgadnięcia.

Może i wy czytelnicy zechcecie zabawić się z nami? Prosimy...

Tadzio mówi:

„Z Nowego Yorku do Londynu codziennie odpływa statek: na przebycie tej przestrzeni potrzeba mu dni trzydzieści. Z Londynu do Nowego Yorku odpływa też codziennie statek i płynie także dni trzydzieści: Ile więc statków, płynących z Nowego Yorku, spotka w drodze statków, płynących z Londynu?”

— Jakże to łatwe i proste, nieprawdaż?

Janka mówi:

— Płynie trzydzieści dni? Więc spotyka trzydzieści statków.

Tadzio. Wcale nie!

— Już wiem! — woła Helenka, zawsze roztrzępana. Nie spotka ani jednego.

Tadzio. Jaktóż? Ani jednego?

Helena. O! teraz już wiem! Spotka jeden statek!

Tadzio. Jeżeli będziesz zgadywała, nie myśląc o tem co mówisz, nie będziemy cię pytali. A no teraz ty Janko.

Janka namyśla się i mówi:

— Spotka sześćdziesiąt statków.

Tadzio. Dlaczego?

Janka. No tak: jeden statek codziennie to trzydzieści statków: a potem codziennie te statki które za nim wypłyną.

Tadzio. Ależ Janko!... Przecież twój statek nie może spotkać tych, które płyną za nim.

Janka. Prawda... Więc ileż ich spotka?

Tadzio. Spotka ich rzeczywiście sześćdziesiąt.

Helenka. Więc Janka dobrze odgadła.

Tadzio. Wcale nie odgadła, bo wytłomaczyła się na opak.

Janka. No! to powiedz nam swój sekret.

Tadzio. To nie jest żaden sekret, tylko obliczenie.

Tego dnia, kiedy nasz statek wypływa z Nowego Yorku, na morzu znajduje się w pewnej od siebie odległości, trzydzieści statków, które codziennie wypływały z Londynu; a drugie trzydzieści wypływają z tamtąd codziennie po jednym przez czas trwania podróży naszego statku. Spotyka on więc te trzydzieści statków, będących już w podróży, i drugie trzydzieści które wypływają w czasie, gdy on jest na morzu. Trzydzieści i trzydzieści, razem sześćdziesiąt...

Powstaje sprzeczka; Janka przecież dobrze powiedziała, że sześćdziesiąt... Tak, ale zamiast wytłomaczyć dla czego, powiedziała niedorzeczność, dowodzącą, że nie zrozumiała zadania. Janka jest rozsądna więc uznaje słuszność zarzutu i przyznaje, że nie powiedziała nic

lepszego od innych. Po rozstrzygnięciu sporu Tadzio przedstawia drugie zadanie o pająku.

„Pająk siedzi pod murem. Mur jest wysoki 8 stóp. Pająk codziennie wspina się 5 stóp na mur, a każdej nocy osuwa się z muru 4 stopy. Ile czasu będzie mu potrzeba na dostanie się na szczyt muru?”

— O! to bardzo łatwe! — wykrzykuje Janek, który tak samo jak Janka znowu się zanadto spieszy. To tylko dla utrudnienia wznosi się pająk w dzień 5 stóp, a spuszcza się 4 stopy. Pająk codziennie wspina się jedną stopę: więc po ośmiu dniach dostanie się na szczyt muru.

Tadzio. Nie! wcale nie tak.

Janek. Jaktóż? Jeżeli mur jest wysoki 8 stóp, jedna stopa codziennie, to właśnie ośm dni...

Tadzio. Nie!

Janek. Kiedy ci mówię, że tak!

Tadzio. Nie! nie! i nie!

Helenka. To może w siedm dni?

Tadzio. Dlaczego w siedm dni? Nie trzeba mówić tak, jak Janek, na chybi trafi, bez zastanowienia. Trzeba wytłomaczyć dlaczego się co mówi.

Tu Janka przyznaje się, że nie potrafiłaby tego wytłomaczyć. I zapytuje:

— Ale zawsze to będzie w siedm dni?

— Tadzio. Nie, wcale nie w siedm.

Obie panienki nie wiedzą już co mówić. A jednak tego rodzaju zadania nie są trudne, tylko chcąc je rozwiązać, trzeba... myśleć.

Myślą też wszyscy i myślą, ale nic z tego myślenia nie przychodzi. Już jest mowa o wezwaniu rodziców do pomocy... Lecz Tadzio proponuje pewne ułatwienia.

— A gdyby to zadanie ułożyć, tak, jak się układa szarady? Odegrać je?

— Odegrać? Dobrze! Janek weźmie na siebie rolę pająka i odegra ją. Tylko zapytuje:

— Mam się wspinać po murze?

Jakżeby to jednak mógł wykonać? Ale on wie, co chce przez to powiedzieć i my go rozumiemy. Tadzio bierze szpilki, wbija je w ścianę w odstępach pół łokciowych i mówi:

— Twoja ręka będzie pająkiem: posuwaj ją od szpilki do szpilki.

Janek-pająk zaczyna. Wspina się: raz, dwa, trzy, cztery, pięć szpilek. Wchodzi na krzesło i stół i spuszcza się potem: jedna, dwa, trzy, cztery... Potem znów się wspina — jeden, dwa, trzy, cztery, pięć... I znowu się spuszcza: jedna, dwie, trzy, cztery. W końcu mówi:

— Nie warto wspinać się. Pięć razy i spuszczać cztery. Lepiej posuwać się po jednej szpilce w górę.

Tadzio. I pewien jesteś, że to będzie to samo?

Janek. A pewien.

— Więc dla czego w zadaniu nie powiedziano po prostu: „Pająk wspina się o jedną stopę codziennie?”

Helenka. Tobo było daleko wyraźniejsze.

Tadzio. Tak, ale w takim razie odpowiedź byłaby ośm. A odpowiedź nie jest taka. No! teraz niech Helenka spróbuje odegrać pająka.

(d. c. n.)

Andrzej Niemojewski.

# KRÓLOWA MACIERZANKA.

(Dalszy ciąg.)

## Gołąbka.

Czas, czas, czas, czas!  
Lecz już szczęście blizkie nas!  
Patrz na dziatki wśród wybrzeża,  
To bracie twoja tutaj zmierza!  
Przez orlicę uniesiona  
I do morza porzucona,  
Syny króla, który w dali  
W łzach na dolę swą się skarży,  
Że mu żonę utopiono,  
Ukochaną, uwielbioną!

**Król** (przez sen).

Wielki Boże! Sen, czy jawa?  
Omamienie, czy prorocstwo.

**Królewicz** (Do gołąbki).

O ty jasna, o ty prawa,  
Złudą jego jest sieroctwo...  
Mów, co czynić? Jak bracie zbawić?  
Matka z szczęścia oszaleje!  
A nasz ojciec zrozpaczony  
Może dowie się i wyśle  
Swych żeglarzy w nasze strony!

**Król** (przez sen).

Synu, ja tu!... Słyszysz synu!  
Ah!... Głos więźnie... chciałbym krzyknąć  
I nie mogę... Co za męka...  
Sen raz pieści i znów nęka...

**Gołąbka.** (Do królewicza).

Luby! Garść złotego piasku  
Chwyć z wybrzeża, rzuć na dziatwę,  
Urok zginie i do morza  
Już nie wróci dziatwa hoża!

(Niepokój wśród chłopców. Królewicz zabiega im drogę i rzuca złotym piaskiem na każdego z nich).

**Królewicz.**

Giń uroku! Precz od morza!  
Matko, matko, powstań z łoża!  
Twoje syny, bracia moi!  
Każdy czeka, każdy stoi!

(Na wybrzeżu ukazują się królowa).

**Królowa.**

Synu, krzyk twój w noc mnie budzi...

**Król** (przez sen).

Żona moja!...

**Królowa** (Ujrzawszy dziatwę).

Czy wzrok łudzi?

Syny moje, dzieci moje!  
Pójdźcie w uścisk skarby moje!  
Utracone, odzyskane,  
Opłakane, ukochane!

(Dziatwa otacza ją z krzykiem, ona ścisła każdego po kolei, szalejąc z radości. Równocześnie gołąbka otrząsa piórku i zamienia się w cudnej piękności dziewczę).

**Królewicz.**

Dziw, dziw! Ktoś jest, urodziwa?

**Dziewica.**

Twa wybrana, twa szczęśliwa!  
Wypełniły się wyroki,  
Rozjaśnione doli mroki!  
Jam cię z matką wybawiła,  
Czar nad bracią odczyniła,  
Uwolniła...

**Królewicz.**

O marzenie,

Kocham ciebie, wielbię ciebie!  
Matko, patrz, ma ulubiona,  
Wymarzona, przyszła żona!

(Na falach ukazują się Kościej, wola tubalnie).

**Kościej.**

Córko moja! Dziecię moje!

**Dziewica** (wyciąga ku niemu ręce).  
Ojcie, ojcie!

**Królowa** (Do królewicza).

Nasze znoje

Już należą do przeszłości!  
Błogosławię twej miłości!  
Gdyby król i pan mój był tu,  
Gdyby dzielili szczęście nasze!

**Król** (Przez sen).

Stójcie, jestem, jestem z wami!  
Z tobą żoną, i z dziatkami!  
Uściskajcie mnie, bieżajcie,  
Obejmijcie, ukochajcie!

(Zrywa się i otwiera oczy. Widzenie znika).

Więc to sen był? Hej, sny takie  
Bóg nam zsyła w ciężkiej chwili!  
Służba, hej!

**Dziewanna.**

Co ty wyrabiasz?

Ledwo ludzie się pośpili,  
A ty wrzeszczysz jak szalony  
I o spokój nie dbasz żony!

**Król.**

Żony? Proszę, jakiej żony?  
O nędznico, znam twe sztuki,  
Szatan dawał ci nauki!  
Sen zbyt piękny mnie nawiedził,  
Aby nie był prawdą... Służba!  
Służba! Służba!

(Ukazują się na progu wystraszeni paziowie. Wbiega ochmistrzyni).

**Ochmistrzyni.**

Czy królowa

Słaba może?

**Król.**

Gdzie królowa!...

Niech mi będzie straż gotowa  
A żeglarze na okręty  
Zabierają wszystkie sprzęty,  
Niech oddziały cztery wstaną,  
Odpływamy jutro rano!

**Dziewanna.**

Gdzie? Co? Kiedy? Stój, szalony!  
Chcesz od lubej biegać żony?

**Król.**

Milcz niecnoto!

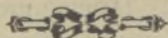
Mógłbym zaraz wezwać strażę  
I do lochu wrzucić ciebie,  
Lecz cię skarci Bóg na niebie!

**Dziewanna.**

Mnie ma skarcić? Jakto? Co to?  
Stój, bo oczy ci wydrapię!

**Król.**

Precz!... W dalekie pływmy strony  
Do mej prawej, biednej żony,  
Do mych synów! (*Wychodzi z paziami*).  
(d. c. n.)

**ZAGADKA.**

Od Frani dla Ojczulka.

Litera i kawał drzewa ociosany  
Składają drogi kamień, z barw i blasku znany.

**ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.**

Ul. Prawa Ręka.

1. Samogłoska.
2. Drzewo liściaste.
3. Wysoki drąg na statku wodnym.
4. Zwierzę drapieżne.
5. . . . .
6. Ochrona przed deszczem.
7. Zabawka dziecięca.
8. Zwierzę drapieżne.
9. Samogłoska.

Litery środkowe pionowo i poziomo wybranych wyrazów  
złożyć powinny nazwę części świata.

**ROZWIĄZANIA DO N-ru 37-go.****Zagadki w obrazku:**

Odwróciwszy obrazek, odnajdziemy kapitana w górze z prawej strony.

*Szarady:* Po — tra — wy.

**Łamigłówki w kwadracie:**

W o ł g a  
N a f t a  
K a n w a  
W i n d a  
H a l k a

**Skrzynka do listów.**

Otrzymał list od laskółki, zapowiadającej rychły swój powrót. Dzielimy się tą wiadomością z jej korespondentami i korespondentkami w nadziei, że rozpoczną na nowo przysyłać jej listy, które tak lubi i ceni.

Wkrótce ogłosimy już sprawozdanie z konkursu na wyprawowanie.

**Boa z Przyłuk.** Zapytujemy, czy to nasza korespondentka Boa, czy też jej siostrzyczka uległa wypadkowi na wystawie w M. Jesteśmy bardzo zmartwieni i zaniepokojeni, życzymy jaknajprędszego wyzdrowienia i prosimy o słówko wiadomości.

**Mahegowi.** Trzy z żądanych książek możemy przesłać i wysyłamy, ale na koszt odbierającego. Żądania otrzymaliśmy.

Wdzięczną ci, **Łohozwianko**, będzie Jaskółka za dowody wiernej o niej pamięci i ładne karty pocztowe nadsyłane z dalekich stron, w których spędzasz lato. Spodziewamy się też od ciebie obszerniejszego opisu miasta Baku i jego słynnych źródeł naftowych.

Ubolewasz **Edziu S.** nad zbliżającą się zimą, zaliczoną przez ciebie do mniej przyjemnych pór roku, a w przewidywaniu długich niedzielnych wieczorów, w ciągu których, nie mogąc używać świeżego powietrza, będziecie musieli bawić się w pokoju, prosisz nas o poznanie cię z nową jaką grą towarzyską, mogącą urozmaicać rozrywki dnia świątecznego. Zabawną ma być gra w *siódemkę*, w której może brać udział dowolna liczba uczestników. Tworzą oni koło i jeden zaczyna rachować raz, sąsiad mówi dwa, i t. d. z kolei. Nie wymawia się tylko siódemki i liczb z dodania tej siódemki wypadających, a w to miejsce wygłasza się jaki umówiony z góry wyraz lub krótkie zdanie. Chodzi o to, aby się nie pomylić przy szybkim dodawaniu owej liczby i w porę zastąpić ją umówionym wyrazem, inaczej daje się fant lub zostaje się z gry wyłączonym. Rachować można do stu i wyżej według woli. Gra taka wymaga uwagi, a pomyłki wywołują ogólną wesołość, stanowiącą konieczny warunek każdej zabawy. Nie dozwala się przy niej tylko uraz i sprzeczek.

Ciekawy źródła każdego używanego przysłowia, pytasz nas **Stefciu R.** skąd wzięło się takie, jak: „w Pacanowie i kozy kują.” W miasteczku tem, położonem w gub. radomskiej, niedaleko Stopnicy słynęli dawniej ze zręczności swojej kowale, a jeden z nich kożę, czyniącą szkody w ogrodzie, okuł za karę. Nietylko jednak tym faktem pamiętny jest Pacanów: dzielni jego mieszkańcy na początku XVI wieku tak mężny stawili opór Tatarom, że się najeżdźcy cofnąć musieli.

Przyjemnie nam **Cisza Wieczorna**, że obiecujesz być stałą naszą korespondentką; za zmianę adresu należy się kop. 14.

**Rozwiązania i zadania własnego układu nadesłali:** Bezimiennie z Kisielówki, Mahe z braćmi: Białym koniem i Realistą, Cyganka, Hen. Kamocki, Cisza Wieczorna.

Ofiary: **Na wieżę na Jasnej Górze:** Bezimiennie rub. 1, Roman Stefański z Sosnowca rub. 1 k. 25, E. C. rub. 1, Z. S. rub. 1. **Na podziękowanie M. Najśw.** za szczęśliwe zdanie egzaminu r. 1. **Na kościół Zbawiciela:** na powyższą intencję S. M. rub. 1, E. C. rub. 1, W. S. rub. 1.